



MAREK MOKROWIECKI I IRENA JUN

RYSZARDA HANIN: Już niczego nie żałuję.

— Pokazała nam Pani w Bydgoszczy znakomity monodram pt. „Róża jest różą”. Czy Pani drogę do aktorstwa usłana była różami?

— Ja już tyle w swoim życiu naopowiadałam się o tej mojej drodze do aktorstwa, że chyba nie powinnam się powtarzać. Poza tym teraz to już raczej powinnam mówić o swoim końcu, a nie początku.

— Tacy ludzie jak Pani mają chyba dużo przyjaciół wokół siebie. Jest Pani uosobieniem spokoju, dobra. Czy można czymś w ogóle Panią zdenerwować?

— To, niestety, tylko pozory. Jestem introwertykiem, duszę wszystko w sobie. Chciałabym czasem wybuchnąć, ale nie potrafię. Brak mi tej bomby. A jestem wręcz chorobliwie nerwowa.

— Co do przyjaciół — niestety, coraz więcej ich odchodzi. Bardzo przeżyłam śmierć Zofii Małynicz, a ostatnio Janka Świderskiego.

— Czy chciałaby Pani firmować swoim nazwiskiem własną scenę?

— O, nie. Za grosz nie mam zmysłu organizacyjnego. Mam uprawnienia reżyserskie, ale prawie wcale nie reżyseruję. Właśnie dlatego, że te wszystkie potyczki z techniką, organizacją i zarządzaniem są dla mnie barierą nie do przebycia. Zgubiłabym się w tym.

— Gdzie Pani najchętniej spędza urlop?

— Bardzo lubię jeziora, to moje ulubione miejsce. Chętnie też jeździłabym jeszcze po świecie. Najpierw do Norwegii lub Grecji. A na razie wciąż jestem użyczona Tallinem. Urodziłam się we Lwowie, ale dopiero w roku ubiegłym, z wycieczką, dotarłam do Estonii. To co tam zobaczyłam — trudno opisać. Chciałabym jeszcze trochę takich przegód w moim życiu.

— O co, Pani zdaniem, najłatwiej może potknąć się aktor?

— O brak szczęścia. Ale proszę tego nie kojarzyć z popularnością. Myślę tu o tym, że życie ucieka między palcami, a aktor nie zawsze zdąży się sprawdzić w tym, w czym chciałby. Nie zdąży się wypowiedzieć.

— Czy pani także „uciekły” takie role?

— Aktor bez takich strat to naprawdę wyjątek.

— A których ról żałuje Pani najbardziej?

— Ja już niczego nie żałuję.

EMILIAN KAMIŃSKI: Jak Brel boję się głupoty.

— Ponoć zapowiadał się Pan na niezły europejski baryton?

— Tak ocenili kiedyś ci, którzy się niby na śpiewaniu znali. Dobry materiał — mówili. Tylko droga nie ta, trzeba ćwiczyć. Dałem się namówić i pojechałem do willi jednego takiego znawcy. Tak mnie przećwiczył, że po godzinie krzyku ruszałem ustami, ale nie wydobywał się z nich już żaden dźwięk. A w szpitalu, pani doktor zapytała: kto panu z tych strun głosowych taki powróż zro-

telewizji zobaczyć i potem chcia- li żebym zawsze taki był. Ale teraz mam już trochę siwych włosów, może więc przestaną mnie przymierzać tylko do wesolek. Zresztą już trafiają mi się poważniejsze role.

— Dziewczęta przepadają za Panem. Muszę więc zadać pytanie czy jest Pan żonaty?

— Właśnie doszedłem do wniosku, że zbrzydło mi już kawaler-

PROSTE PYTANIA

bił? No i wtedy chyba mi się tej europejskiej sławy odechciało.

— Struny przeszły jednak skuteczną kurację i dziś wydobywa Pan z nich dźwięki, które ujmują, wzruszają. Gdyby miał Pan wskazać pierwszego spośród takich mistrzów jak Wysocki, Okudźawa, Brel, Brassens, Cohen czy Dylan...

— To jasne, że Brel. To jest mistrz nad mistrze.

— Brel twierdził, że m. in. najbardziej nie lubił głupoty. Dawał temu wyraz w swoich piosenkach. Czy Pan też głupoty nie clerpi, skoro te piosenki Brela śpiewa?

— Tak, podobnie jak Brel boję się głupoty. Ale to jeszcze za mało. Najbardziej boję się tej bezinteresownej zawiści. Ona robi najwięcej krzywdy ludziom.

— Na telewizyjnym ekranie jawi się Pan jako taki podłotek, bawidamek, wesolek diabła. A tu w naturze — kawał chłopca, mięśnię tam gdzie trzeba. I bardzo poważny facet.

— Tak mnie widocznie w tej

skie życie. Szukam żony. Ale spokojnie, bez pośpiechu.

MAREK MOKROWIECKI: Liczę na medal.

— Ostatnio w swoich monodramach („Trans-Atlantyk” Gombrowicza i „Zaproszenie” Nowakowskiego) jakby dopraszał się Pan wyjazdu, kontraktu, emigracji. Proszę powiedzieć, gdzie chciałby Pan pracować, gdzie wypoczywać?

— Mam parę wymarzonych miejsc. Może być Bielsko-Biala, może być Chamonix. Byle były góry. A najlepiej góry z wodą. Pracę też mógłbym tam znaleźć.

— Gdyby, na przykład zabroniono Panu aktorstwa, co rzecz jasna wykluczam, kim chciałby Pan być?



MAREK BARGIEŁOWSKI

— Jestem mężczyzną pracującym, żadnej pracy się nie boję. Mam dwa zawody oprócz aktorskiego. Ukończyłem technikum kolejowe, a drugi zawód to ratownik górski. Miałbym co robić.

— Co Pana nudzi najbardziej?
— Monodram dłuższy niż godzina.



RYSZARDA HANIN



gestu od władz, ale Ludwik Kamiński, szef Spotkań mógłby się postawić. Chyba, że zapomniał, jak kiedyś na występ do Bydgoszczy z Koronowa piechotą szedłem. I jeszcze zdążyłem wykapać się w Janowie. Nie jest wykluczone, że przywiozę też własny spektakl pt. „Ring”, rzecz współczesną, do której szukam teraz obsady.

IRENA JUN: ...nie mieszkałabym tutaj.

— Jakie jest Pani najbliższe grono?

— Składa się ono z męża Józefa Wieczorka, 15-letniej córki Marii (szkola muzyczna, klasa skrzypiec) oraz 87-letniej ciotki Ireny, po której rosną imię. Mam

my, ale własną scenę chciałabym mieć.

— Co więc w sensie artystycznym daje Pani przynależność do Teatru Studio?

— Pozwala mi ona na swego rodzaju dumę zawodową, bo to teatr bardzo dobry, a Szajna czy Grzegorzewski to wielcy mistrzowie.

— Gdzie chciałaby Pani mieszkać poza stolicą, poza Polską? Pewnie miejsce znalazłaby Pani, skoro zalicza się Panią do kilku aktorek najlepiej grających Becketta.

— Gdybym chciała mieszkać gdzie indziej, nie mieszkałabym tutaj.

MAREK BARGIEŁOWSKI: Niech będzie BMW.

— Gdyby zaproponowano Panu własny teatr, kogo zatrudniłby Pan?

— Wystarczyłyby cztery osoby: Piotr Fronczewski, Marek Kondrat, Krystyna Janda i Joanna Szczepkowska. Mogę być menadżerem takiej grupy, to sprawdzona ekipa. Grałem już z nimi. Koledzy i przyjaciele.

— Proszę wybrać sobie jakąś muzykę, sztukę. Co chciałby Pan stworzyć?

— Najbliższe moim zainteresowaniom jest pisarstwo. Zazdroścę wszystkim książek Konwiciemu. Sam noszę w sobie taki dramat — nazwijmy go — naszego czasu. Pewnie każdy go nosi. Myślę o nim i pewnie... ktoś go napisze, choć boję się, że za późno.

— Gdzie najchętniej i z kim z najbliższych spędziłby Pan urlop

za pieniądze zarobione w teatrze?

— Spędziłbym urlop z żoną Marią Chwalibóg. Inna rzecz, że to, co zarobię w teatrze pozwala tylko na urlop w kraju. Ja spędzam urlopy na Szwajczerzyźnie. Za poważne pieniądze jeździłbym po świecie.

— Gdyby była gdzieś w kraju wymyślona restauracja, co najchętniej zamówiłby Pan w niej?

— Frutti di mare, których w Polsce zjeść jednak nie mogę. Zostaje klops z puszki lub gałki z słoika.

— Pański prezent marzeń?

— Niech będzie BMW, niekoniecznie najnowszy model. Jeśli ja miałbym dać komuś, to dałbym... szczęście bliźniemu.

— Jak wspomina Pan Toruń?

— Był moim pierwszym teatralnym miastem, a wszystko co pierwsze — smakuje najbardziej.

TERESA BUDZISZ-KRZYŻANOWSKA: W Krakowie jeszcze coś się tli.

— Z kim najchętniej pracowałaby Pani?

— Bez wątplenia z Grzegorzewskim, z Markiem Walczewskim, Ewą Lassek. I z tą dziewczyną, którą niedawno widziałam w poniedziałkowym teatrze obok Zapasiewicza. Zapamiętałam nazwisko: Małgorzata Pleńkowska. Była fantastyczna. Zresztą ja lubię młodych, stąd moje zajęcia w szkole.

— Gdyby miała Pani wybrać jakieś teatralne miasto w Polsce — to Warszawa czy Kraków?

— Kraków.
— To dlaczego Warszawa?



EMILIAN KAMIŃSKI

— Przez zupełny przypadek. W Krakowie jednak nie ma takiego organizacyjnego bałaganu, obojętność w Galicji jest na wyższym poziomie. Tam jeszcze COS tli się w ludziach. Nie znaczy to, że w stolicy nie ma znakomitości, ale w Krakowie pracuje się lepiej, łatwiej.

— Jakiej ks' ę i zazdrości Pani jakiemu autorowi, jaką już napisaną chciałaby Pani napisać?

— Ooo, jest taka przecież, czytałam ją...

— Kiedy ją Pani czytała, może pomogę?

— Dwa lata temu.

— Czy to jest „Świat według Garpa”?

— Oczywiście. „Świat według Garpa”.

— Co Pani lubi najbardziej?

— Przebywać w towarzystwie miłych ludzi.

— Gdzie chciałaby Pani mieszkać?

— Zdecydowanie w Rzymie.

— Pani Irena Jun mówi, że gdyby nie chciała, nie mieszkałaby tutaj.

— Taką dewizę stosują tylko wobec teatrów.

Rozmawiali:
**MAREK K. JANKOWIAK
I MAREK ZAGÓRSKI**

Fotografował:
TYTUS ZMIJEWSKI

A ZA KULISAMI

— „Jest-li w istocie szlachetniejszą rzeczą...”

— „... Za broń, chwycić przeciwników morzu cierpienia. Umarzec, zasnąć, nic więcej...”

— Brawo. Ma Pan pamięć. O czym chciałby Pan jak najszybciej zapomnieć, a co najdłużej pamiętać?

— Chciałbym zapomnieć o moim czasem nie najmiłszym stosunku do pań. Przepraszam je wszystkie serdecznie. A pamiętać? Morskie i górskie świąty.

— Pewnie za rok znów Pan będzie na Spotkaniach Teatralnych. Był Pan już siedem czy osiem razy. Z czym Pan przyjeżdżać?

— Przyjadę z nadzieją, że otrzymam od organizatorów medal za tyle występów. Nie wymagam

jeszcze dwa psy: Alę i Babę oraz królika Kacabaja.

— Gdzie Pani spędza urlopy, a gdzie chciałaby je Pani spędzać?

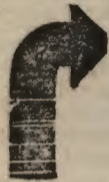
— Mam chałupę na wsi, nad Bugiem. Bardzo lubię tam jeździć. Ponieważ wiele podróżuję po świecie z teatrem, najbardziej egzotyczny jest dla mnie pobyt nad Bugiem.

— Książki których autorów czyta Pani najchętniej? Czy są to autorzy związani z teatrem?

— Oczywiście. Jest ich kilku. Beckett, Joyce, Kafka.

— Pani osiągnęła szczególnie w sztuce monodramu są powszechnie znane, może przyjąć, że jest Pani instytucją. Czy myślała Pani o założeniu własnej sceny?

— Za nic nie chciałabym podejmować się funkcji szefa fir-



TERESA
BUDZISZ-KRZY-
ŻANOWSKA

